

Szymon Wróbel

Białe dzienniki Cezarego Wodzińskiego.

W dziesiątą rocznicę śmierci

Pogrzeb (jaskinia Hermesa)

Nie mam całkowitej jasności, kiedy dotarła do mnie informacja o śmierci Cezarego Wodzińskiego. Wydaje mi się, że zadzwonił do mnie Jerzy Axer, który wypowiedział sentencjonalny i prosty komunikat: „Cezary Wodziński nie żyje”. Nie jestem jednak pewny tego telefonu, tak jakby wiadomość o śmierci Wodzińskiego musiała pozostać dla mnie na zawsze nierealna. Nie mogłem uwierzyć w jego chorobę, a potem śmierć. Gdy go pierwszy raz zobaczyłem z czarną laską, nie wiedząc jeszcze nic o jego chorobie, pomyślałem, że to jeszcze jeden dowcip, ekscentryczny wybór – pokroju ogromnego kapelusza z rondem, w którym paradował przez jakiś czas. Na wózku Cezarego Wodzińskiego nigdy nie widziałem; był zbyt żywy, aby tak po prostu umrzeć. Nie mogłem zatem uwierzyć w śmierć kogoś, kto zawsze pozostawał bardzo witalny, powiedziałbym nawet: Nad-witalny.

Już po oficjalnym komunikacie i publicznym nekrologu jedynie Jan Kieniewicz rozmawiał ze mną na temat pogrzebu, który był jak najbardziej realny. Pamiętam osoby, które przemknęły na cmentarzu. Mowę końcową, rodzaj wspomnienia, wygłosił Jacek Migasiński. **Nic z tej rozmowy** nie zapamiętałem i nie jestem nawet pewny, czy ją wyraźnie usłyszałem. Zamieniłem słowo z Krzysztofem Matuszewskim, wielkim apologetą słowa i czynu markiza de Sade'a i Georges'a Bataille'a, poety życia sięgającego aż po śmierć. Wszyscy inni wydali mi się bezcielesnymi cieniami, fantomami, upiorami. Tadeusz Gadacz tak był przejęty śmiercią przyjaciela, że nawet odwzajemnić mojego przywitania nie zdołał. Za to na widok Adama Michnika, składającego pożegnanie na grobie filozofa, towarzyszący mi znajomy, **niemający** pojęcia o filozofii, ale mający zmysł społeczny, powiedział jedynie, że musiał umrzeć jednak ktoś ważny.

Wszyscy byli upiorami poza być może Piotrem Nowakiem, który w towarzystwie swej nowej damy, Halszki Witkowskiej, przyszłej wiceprezeski Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego, złożył na grobie kwiaty, lawendę chyba, zapowiadając w ten sposób swoją, wzbudzoną śmiercią Mistrza, pretensję do zajęcia miejsca po nim. Tylko jego dziwnie ożywiła śmierć Wodzińskiego. W istocie telewizyjny *Kronos* zajął symbolicznie miejsce po *Ogrodzie Sztuk*, w którym Cezary Wodziński ustanowił chyba rekord świata: mówił piętnaście minut bez przerwy o Heideggerze i prowadząca program – Kamila Drecka – nie ośmieliła się mu przerwać. Widać, nawet filozofia rozwija się w tempie biologicznym: filozo-

fia przecież to prawdziwa wojna pokoleń. O ile dobrze sobie przypominam, był to w ogóle ostatni pogrzeb, na którym się zjawilem, pogrzeb, który upewnił mnie o niemocy naszej kultury w przeżywaniu śmierci i żałoby. Puste gesty żyjących, słowa, które nie trafiają do adresata, to znaczy martwego ciała.

Dobrze się stało, że nie zareagowałem na śmierć Wodzińskiego natychmiast. Dobrze się też stało, że nie komentowałem **pośmiertnych** wypowiedzi jego przyjaciół, w tym Janusza Palikota, do czego byłem motywowany po publikacji w *Gazecie Wyborczej* w maju **2023 roku**, gdy tenże pisał o Wodzińskim: *Był jak Miłosz czy Bauman, tylko bez zębów i śmierdzący potem*. Palikot w więzieniu chyba nie stracił zębów, a perfumy prawdopodobnie nie pomogły mu w adaptacji do miejsca izolacji, wreszcie jego *Dziennik z więzienia*, zapowiadany jako polska powieść pikarejska, jest tylko świadectwem narastania w autorze skłonności do konfabulacji. Być może w więzieniu Palikot zrozumiał, że smród nie jest własnością ciała, ale duszy, rodzajem zapachu, z powodu którego odwracają się przyjaciele. Dusza Wodzińskiego nigdy nie śmierdziała. Jak to formułuje Lacan w Seminarium VIII: *Brzydota Sokratesa stanowi przykład tego, że analitycy [...] nie są znani ze swojego fizycznego uroku. Jednocześnie przypomina nam, że brzydota w żaden sposób nie stanowi przeszkody dla miłości*. Wodziński, niczym Sokrates, wybrał służbę Erosowi, aby nim się posłużyć, aby służyć Erosowi w posługiwaniu się nim. Dobrze się zatem stało, że nie zareagowałem na śmierć Wodzińskiego natychmiast, zaraz po odejściu filozofa, bo zareagowałbym tylko negatywnie i afektywnie, a nie kognitywnie i pozytywnie. Czas eliminuje z naszych myśli przypadkowe opinie. Potrzeba czasu, aby zrozumieć rolę i wagę niezującego człowieka w naszym życiu. Nawet jeśli natychmiast, tuż po śmierci, wydaje nam się, że ta rola była destrukcyjna.

Dziś powiedziałbym, że dzieło Cezarego Wodzińskiego jest absolutnie czyste intelektualnie, a jego myślenie do samego końca pozostaje krystalicznie przezroczyste. Wodziński miał zdolność **zawstydzania** całego pokolenia polskich filozofów, w tym mnie; **zawstydzania** wyrzutem, że zajmujemy się wszystkim – psychoanalizą, kognitywistyką, teorią polityczną, językoznawstwem, literaturą, tylko nie filozofią. Nie wykluczam, że Cezary był ostatnim polskim filozofem, a jego wierność wobec filozofii budzi dziś we mnie wzruszenie. Nie mam pewności, co oznacza wierność wobec filozofii. Może oznacza ona wieczną żałobę po Platonie, a może nic nie znaczy.

Giorgio Agamben w swej książce *Opus Dei: Archeologia obowiązku* wspomina przełomowe seminarium w Le Thor we wrześniu 1964 roku, na którym Heidegger

provokacyjnie zapytał jego uczestników, jakie pojęcie w słowniku Arystotelesa uznają za podstawowe. Zgodnie z relacją Agambena odpowiedział tylko najmłodszy student, w którym rozpoznajemy przyszłego autora *homo Sacer*, zasugerowawszy, nie bez lęku, że tym pojęciem jest: *kinēsis*, czyli ruch. Odpowiedź okazała się poprawna. Teoria potencjalności jest dla Arystotelesa sposobem na przekształcenie możliwości w byt. To przekształcenie dokonuje się poprzez ruch. Arystoteles nie mówi „jest dobry”, ale „staje się dobry” (*agathos gignetai*): chodzi nie tylko o przejście do rzeczywistości, ale także o działanie w bycie. Zgodnie z tą intuicją Wodziński stawiał się tym, kim był, i był tym, czym się stawał. W świetle *Etyki nikomachejskiej* cnota jest nawykiem, dzięki któremu stajemy się dobrzy i dzięki któremu ktoś wykonuje swoją pracę niczym samospełniającą się przepowiednię. Cnota posiada podwójny status – ontologiczny: ktoś „staje się dobry” i praktyczny: ktoś „dobrze wykonuje swoją pracę”. Ta doktryna cnoty z pewnością znajdowała swoją egzemplifikację w dziele i działaniu Cezarego Wodzińskiego.

Był bowiem Wodziński dzieckiem dwóch bogów, czyli boga-ojca Krzysztofa Michalskiego, założyciela i wieloletniego dyrektora Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu, który nauczył Wodzińskiego widzenia problemów światowych, a nie tylko prowincjonalnych, oraz bogini-matki, Barbary Skargi, wielkiej historyczki idei, która zaszczerpiła Wodzińskiemu miłość do filozofii jako historii wielkich nazwisk i wielkich tekstów.

Jednak Cezary Wodziński to nie Sokrates ani Mefistofeles, to nade wszystko Hermes. Dowcipniś Hermes był złodziejem – ukradł bydło Apollina, co w rezultacie zmusiło boga do wysłania chóru satyrów, aby odzyskali zwierzęta, obiecując im podwójną nagrodę: wolność i złoto. Wszystko to można przeczytać w dramacie satyrowym Sofoklesa zatytułowanym *Tropiciiele*. Satyrowie wyruszają na poszukiwanie bydła, śledząc ich ślady. Zbliżając się do jaskini, w której ukrywa się Hermes, słyszą, jak gra na lirze, którą właśnie wynalazł. Przestraszeni dziwnym dźwiękiem, satyrowie ulegają przerażeniu. Nimfa góry, w której ukrywa się Hermes, wyjaśnia im naturę instrumentu muzycznego. Na zewnątrz jaskini satyrowie dostrzegają zsyte krowie skóry i są przekonani, że znaleźli złodzieja. To był jednak tylko podstęp Hermesa, godny Odysusza.

Hermes zatem to złodziej, grający na lirze, którą sam wynalazł. Hermes budzi dźwięki, których żaden śmiertelnik nigdy wcześniej nie słyszał i które są *niczym głosem*. Ten „głos” zatrzymuje pościg i przeraża ucho tropicieli. Należy zadać tropicielom pytanie: z jakiego powodu są przestraszeni, skoro nie rozumieją, co słyszą? Wodziński, niczym Hermes, budził fascynację, ale

nie ma pewności, na czym ją budował. Z pewnością wynalazł nowy instrument i ukrył się w jaskini, ale nie była to jaskinia Platona. Instrumentem Wodzińskiego była mowa, jednak jej źródło nie było jasne. Czyżby Wodziński był brzuchomówcą?

Na cześć Hermesa wszystkie pudełka ukrywające tajemnicę głosu, z *With Hidden Noise* Marcela Duchampa na czele, które intrygują ucho tym, co sączy się z ich obudowy, powinny zostać nazwane „jaskiniami Hermesa”. Nie ma wątpliwości, że głos Wodzińskiego ulatywał z enigmatycznej groty, z wewnętrznej jaskini Hermesa ukrytej w jego ciele. Jacques Derrida w *Głosie i fenomeńie* przesądzi: głos nie spotyka w świecie żadnej przeszkody dla swojej emisji, o ile wytwarza się jako czyste samopobudzenie. Głos nie jest narzędziem świadomości, on jest świadomością.

Wodziński zdawał sobie sprawę, że głosu filozofa nie można trzymać w ryzach, ograniczyć ani opanować. Głos to źródło wszelkiego fenomenu. W związku z tym nie można zamknąć dźwięku w pudełku, ponieważ albo wydostaje się on na zewnątrz, gdzie tropiciele zawsze go myślą z czymś innym, albo sam zostaje pochłonięty przez ciszę i znika na zawsze. Głos to także strażnik ciszy. Widzieć wszystko i słyszeć wszystko oznacza przeżywać na nowo to, co już miało miejsce, lub z wyprzedzeniem postrzegać to, co nadchodzi z przyszłości. Do tego było zdolne tylko ucho-głos maga Wodzińskiego.

Sława (nie chwała)

Sława Cezarego Wodzińskiego docierała do mnie falami. Owszem, zakupiłem książkę *Heidegger i problem zła* w 1995 roku, ale nie przeczytałem jej, ledwie ją przekartkowałem. W tym czasie czytałem tylko strukturalistów i poststrukturalistów a wszystko w porównaniu z nimi wydawało mi się reakcyjne, także Heidegger. Nie byłem wtedy jeszcze zdolny ujrzeć w dziele Heideggera struktury. Owszem, bywałem już w Instytucie Filozofii i Socjologii, ale chyba tylko w celach proceduralnych, a nie na seminariach Wodzińskiego. Dopiero na stypendium w Wiedniu w 1996 roku uświadomiłem sobie, że moc i czar Wodzińskiego wychodzi poza Krakowskie Przedmieście, a bez poważnej lektury Nietzschego zrozumienie myśli Michela Foucaulta jest niemożliwe. Wtedy powoli też rozkręcała się dyskusja wokół książki Wodzińskiego *Światłocienie zła* w kontekście krytyki tej pracy dokonanej przez Józefa Tischnera, o czym życzliwie poinformował mnie Michał Paweł Markowski. Jednak i na problem „zła” zareagowałem apatycznie. Myślałem wtedy w stylu Jeana Geneta, że tylko zło jest bezinteresowne. Myślałem, że tylko zło jest dobrem. Myślałem, że Zło jest jedynym dobrem.

Dopiero po wydaniu mojej książki *Galaktyki, biblioteki, popioły* w 2001 roku coś się zmieniło. Otrzymałem list od Wodzińskiego, który informował mnie, że treść i forma książki jest mu z gruntu obca, ale i tak gratuluje, i tak czyta, a nawet rekomenduje do czytania. Przechowuję ten list do dziś, choć wczoraj nie mogłem go odnaleźć. Może zaginął na zawsze. Wodziński rekomendował *Galaktyki* polskiemu artyście Markowi Sobczykowi, który niedługo po tej rekomendacji zatrzymał mnie na ulicy pod księgarnią i spytał, skąd **ten zachwyt** Wodzińskiego **nad moim pisaniem** i kim ja w ogóle jestem, że Wodziński mnie rekomenduje, bo Dostojewskiego lub Joyce'a nie przypominam. W istocie nie przypominałem ani Dostojewskiego, ani Joyce'a. Myślę, że dla samego Wodzińskiego słabość do mojego pisarstwa nie była zrozumiała. Nasze zbliżenie duchowe było tajemnicze. Powiedział to zresztą wprost, kiedy kilka lat później zorganizowałem konferencję o literaturze i filozofii w ośrodku bibliotekarstwa w Jarocinie, gdzie spotkali się Tadeusz Sławek, Tadeusz Komendant, Michał Paweł Markowski, no i Wodziński, który przy pierwszym piwie powiedział, że nie rozumie, co robi na tej otchłannej czarnej polskiej prowincji, gdzie w pierwszym napotkanym kiosku kupić można broszury antysemitki. Wodziński przeważnie po takich sentencjach się uśmiechał. Wodziński czarował uśmiechem. Nigdy się nie śmiał, ale często się enigmatycznie uśmiechał.

Dziś odpowiedziałbym mu, że przyjechał do tego „ciemnogrodu” nie tylko po to, żeby odbyć pierwszy pojedynek z Markowskim, nie tylko po to, aby ujawnić swe notatki do przyszłej książki *Logo nieśmiertelności. Platona przypisy do Sokratesa*, ale po to, aby mnie po raz pierwszy olśnić. Być może w Jarocinie usłyszałem najpiękniejszy wykład filozoficzny o Platonie, jaki w ogóle w życiu usłyszałem. Chyba tylko wykład Alaina Badiou wysłuchany kiedyś w Colchester na temat teorii podmiotu zachwycił mnie porównywalnie. Zrozumiałem siłą mowy i inteligencji Wodzińskiego: mówił to, o czym niby wszyscy wiedzieli, bo któż nie czytał Platona, choć nikt nie rozumiał do końca. Wodziński wydobywał na światło to, co znajdowało się od dawna w pełnym świetle, ale nikt nic nie widział. Nikt nie widział liter. Wodziński po prostu czytał i pisał z pełnym rozumieniem. Wodziński sylabizował Platona. Na tym polegała jego krystaliczna czystość. To dlatego jego dusza nigdy nie gniła i nigdy nie śmierdziała. Dusza rozumna nigdy nie gnije. Może nie znał greki tak jak filolodzy, może nie znał niemieckiego tak jak germaniści, może posługiwał się nieistniejącym rosyjskim – co z tego, skoro tłumaczył i rozumiał lepiej niż uczeni filolodzy. Rozumienie przekracza wszelkie językoznawcze kompetencje i techniczne sprawności. Źródła rozumienia są niezrozumiałe.

Hermes pozostanie zawsze niezrozumiany przez **Apolla**. Hermes pozostaje w służbie Erosa.

W *Światłocieniach zła* czytamy, że *filozofia zawsze stawała przed zadaniem pomyślenia tego, co najtrudniejsze do pomyślenia*. Co było najtrudniejsze do pomyślenia dla myśli Wodzińskiego? To nie zaświaty, to nie idee, to nie idea dobra, ale istnienie zła jest najtrudniejsze do pomyślenia dla myśli Wodzińskiego. Wodziński stwierdza kategorycznie: *Pytanie o niepomyślność zła nie jest bynajmniej efektem wieloznacznej gry językowej*. Jest raczej efektem dystansu pomiędzy złem danym w doświadczeniu a złem zadaniem myśleniu. Wodziński zawsze wynurzał się ze szczeliny między zjawiskiem (pozorem) a rzeczą samą. Tam znajdowało się też miejsce emisji jego magicznego głosu. To była jego grotka.

Wodziński był wstrząśniętym Hermesem, to znaczy Hermesem, który tracił wrodzoną radość życia: wesołość. Czym był wstrząśnięty Wodziński? No cóż: fenomenem zła. Zło – zdaniem filozofa – prezentowało się przez stulecia myśleniu filozoficznemu przewrotnie i złośliwie. W rezultacie odbierało spójność i definitywność wszelkim definicjom zła określanym jako: „wyzwanie”, „skandal” i „prowokacja”, „aporia”, „problemat”, „eksczes”, „transcendens”. Podjęcie przez Wodzińskiego tropu Kantowskiego „zła radykalnego” groziło natychmiast gwałtownym tektonicznym wstrząsem „czystego rozumu”. To właśnie w Kantowskim formalizmie etycznym otwiera się furta, luka, przerwa, która wyprowadza poza dziedzinę czystego rozumu. Ta luka także została zagospodarowana przez Wodzińskiego.

U Kanta skłonność do zła dana jest człowiekowi wraz z narodzinami, chociaż urodzenie się nie jest przyczyną zła: jest to raczej – jak powiada Kant – *sposób bycia wolności, który jest spowodowany tym, że jest ona wolnością*. W pewnym sensie zło jest, zanim my nadejdziemy, zło na nas czeka. Demonizm tkwi w samej wolności, która dokonuje samozniewolenia. Odkrycie tego faktu nie pozwala na odzyskanie poczucia bycia dzieckiem bożym stworzonym dla bożej chwały. Na Wodzińskiego należy spoglądać jak na wielkiego etyka epoki masowych mordów, a więc **czasów**, w których – jak powiada Michel Foucault – *ludobójstwo stało się życiodajne*. Wodziński był cnotliwy cnotą czasów mnogich pogromów.

Nie trzeba było jednak czekać na Foucaulta, aby odkryć zagrożenia. Trop *Abgrund*, „zła ogólnego” u Schellinga, które opiera się dialektycznej metodzie odrealniania, deontologizacji zła, zostaje pochwycony przez Wodzińskiego i w jego filozofii odpalony. Zdaniem Schellinga, odwracającego do góry nogami logicznego ducha Hegla, świat najmniej przypomina wytwór czystego rozumu, to znaczy zawiera masę nie-rozumu. Bezrozum-

na przygodność jest podstawą świata, a rozumność to wynik przypadku i okoliczności. Przygodność i zło jest podstawą pozbawioną gruntu, jest otchłanią *Abgrund*. Porzucenie tego odkrycia skazuje nas – zdaniem Wodzińskiego – na niemyślenie. Zło daje do myślenia tym bardziej, im bardziej nie jest myślane. Pisząc monografię *Światłocienie zła*, Wodziński uświadamia sobie, że czas „monografii” przeminął i **jedyne**, co możliwe w **filozofii**, to złożona konfiguracja epifanicznych wglądów i podejrzeń, epifanicznych fragmentów. Filozofia dziś zdolna jest mówić tylko na temat zła epifanicznego. Filozofia pozostaje uwięziona w szczelinie między mutyzmem a aforyzmem. Głosem filozofa staje się głos Hermesa, a jego grota jego jedynym domostwem.

Wodziński pozostał zawsze wierny fenomenologii – odmówił skoku w strukturalizm, a nawet w genealogię. Dlaczego? Dlatego, że pozostał mistrzem widzenia, a nie archiwizowania lub porządkowania za pomocą formalnej struktury. Dla Wodzińskiego fenomenologia jest ćwiczeniem, wprawianiem oka w widzenie. Fenomenologia to sztuka poruszania się w przestrzeni światła i cienia. Światłocienie to nazwa przestrzenności, czyli właściwego fenomenologii obszaru doświadczenia. Żywiołom fenomenologicznego widzenia są wszystkie możliwe „gry” między światłem i cieniem. Gry toczone są „pomiędzy” zmianami intensywności światła, w „przejściach” między jednym a drugim strumieniem światła. Światłocienie to gra samego światła, to przestrzeń, którą ukochoła „faustowska dusza” człowieka północy. Ta przestrzeń nie jest nigdy jasna i przejrzysta; unoszą się w niej gęste i ciemne opary nadające jej ton szarości; to przestrzeń w której rządzą herosi i wrogo nastawieni bogowie. Wibracje duszy są w istocie wibracjami światła. Wodziński spogląda poprzez absolutną ciemność ku absolutnej jasności. Raz jeszcze: to widzenie nie z jaskini Platona, ale z groty Hermesa.

Europa (żaglówka)

Prawdziwym przełomem okazała się jednak konferencja w szkole humanistycznej w Pułtusku na temat Europy, na którą – z rekomendacji Wodzińskiego – zostałem także zaproszony. Wodziński w zasadzie pojawił się tam tylko ze względu na swój wykład na temat zniszczenia World Trade Center w zamachu 11 września 2001 roku. Wykład, głównie ze względu na to, że został zaprezentowany po angielsku, był praktycznie niezrozumiały, ale niezwykle naładowany patosem. Wszyscy byli poruszeni „niezrozumiałym rozumieniem”. To było autentyczne użycie strun Hermesa. To „niezrozumiałe zrozumienie” było chyba głównym motywem tej konferencji, bo po moim wystąpieniu obecny tam Lech Witkowski powiedział jedynie, że usłyszał „niezrozumia-

łe” streszczenie poglądów Foucaulta, ale końcowe pytanie o to, kto zostanie w społeczeństwie po wykluczeniu wszystkich dewiantów i szalonych, chorych i przestępców, złodziei i złoczyńców, jest ciekawe. Kto zostanie w kulturze i cywilizacji po osądzeniu i osadzeniu w więzieniu dzieci Hermesa? Już wtedy prześladowało mnie przeświadczenie, że zbiór osób znormalizowanego społeczeństwa jest zerowy i nikt nie należy do tego wyrafinowanego, higienicznego, czystego zbioru, który jest tak bardzo wykluczający i elitarny, że aż pusty.

To była ważna konferencja, bo zaraz po niej Wodziński po raz pierwszy zaprosił mnie do swojego domu w Nieporęcie. Wcześniej odwiedziliśmy wydawnictwo IFiS PAN, gdzie Wodziński wkroczył radośnie jak do siebie i zgarnął z półki wszystkie swoje książki z serii *Eseje – I cóż po filozofie... Eseje filozoficzne, Hermes i Eros. Eseje drugie, Pan Sokrates. Eseje trzecie* – i mi ofiarował, na co szefowa wydawnictwa powiedziała jedynie: „No, jak tak będziemy postępować, to daleko nie zajedziemy”. Miała rację, do dziś wydawnictwo ma głębokie problemy finansowe, a książki tam wydawane nie trafiają do księgarń i są dystrybuowane głównie jako prezenty. W domu Wodzińskich trzy razy przegrałem z Cezarym w ping ponga, ale wysłuchałem też jego niezwykle opowieści o przyszłych planach.

Otóż Cezary wyjął mapę i nakreślił plan swojej wędrówki żaglówką po Europie, wybierając znaczące jednostki uniwersyteckie, na których będzie wygłaszał kolejno wykłady. Jego Europa była – na mapie – w zasięgu ręki. Usłyszałem, że Wisłą i Wartą popłynę do Berlina, Łabą do Hamburga i Pragi, Renem do Kolonii, Wezerą i Dunajem do Wiednia i Monachium, a potem już tylko Jezioro Bodeńskie – Lichtenstein i Berno. Świat Wodzińskiego był mapą dróg otwartych, zapraszających do przebycia, był całokształtem możliwości, a nie zagrożenia, był rozgwieżdżoną sceną raczej woli i nieujarzmionych pragnień, a nie lęków, strachów, niepewności lub nieśmiałości. Wiedziałem już, że Wodziński jest Herme-sem, bogiem drogi, że jest Grecją, czyli Hermesem przebranym za Dionizosa, Dionizosem przebranym za Sokratesa, Sokratesem przebranym za Erosa. Nie wiedziałem jeszcze, ile w tym Sokratesie-Hermesie-Dionizosie, drzemało i ukrywało się z Raskolnikowa lub **Stawrogina**. Dlaczego Wodziński, znawca Dostojewskiego i Szestowa, nie chciał jednak popłynąć żaglówką na wschód?

Po tej opowieści o Europie złożonej z rzek onie-miałem: rozumiałem, że projekty Wodzińskiego są odważniejsze od moich snów. Ja nawet śnić nie potrafiłem tak bluźnierczo, tak odważnie, tak brawurowo, tak bajecznie. Na koniec mojej wizyty pozwolił mi obejrzeć swoją bibliotekę i wybrać sobie książki, jeśli znajdę podwójne. Wybrałem chyba z dziesięć: stos cały. Po do-

nosie w tej sprawie młodej małżonki dokonał redukcji aktów mojej suwerennej i zachłannej woli, do czterech sztuk. Wśród zebranych z biblioteki Wodzińskiego książek przywiozłem do domu pierwsze wydanie *Nowoczesności i zagłady* Zygmunta Baumana. Później, wiele lat później, przeprosił mnie za tę redukcję. Uznał, że żadna redukcja, w tym fenomenologiczna i transcendentalna, nie jest uzasadnialna. Przyjdzie też czas, gdy tym razem ja zawyrokuje, że *Nowoczesność i zagłada* Baumana to jedna z jego najbardziej nieudanych książek. Przyjdzie czas, gdy Bauman będzie czuwał nad moją duszą bardziej niż Wodziński.

Spotkanie w Zamku Ujazdowskim (poróżnienie)

Nadszedł kryzys. I to wielokrotny kryzys, niestety. Po pierwsze – kryzys w rodzinie Wodzińskiego, do którego zostałem bezrozumnie dopuszczony. Mój wyuczony zawód psychologa klinicznego zawsze wkręca mnie w afery rodzinne dziejące się wokół mnie, wśród znajomych. Moja interwencja kliniczna nie była udana, a moja osoba nie była potrzebna do ratowania czegokolwiek, miała dostarczyć alibi.

To było jednak tylko preludium do czegoś bardziej zasadniczego. Myślę o książce zatytułowanej *Kairos. Konferencja w Todtnaubergu, Celan – Heidegger*. Dyskusja wokół niej odbyła się zimą 2012 roku w Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski. Zostałem na nią zaproszony, Wodziński oczekiwał aplauzu i mowy apologetycznej. Należało zostać w domu, należało udać chorego, zwłaszcza, że zimno było potworne. Polska była wtedy krainą lodu. Niestety przybyłem, a sala była całkowicie wypełniona młodym i starym pokoleniem ludzi kultury. No i powiedziałem, że książka została napisana tylko po to, aby usprawiedliwić nazistowską przeszłość Heideggera, to znaczy dostarczyć alibi filozofowi uzbrojonemu w pojęcie i politykę przez bezbronnego poetę, który przez przypadek mówił tym samym językiem, co filozof.

Alibi to słowo kluczowe. Nie jestem pewny, czy wtedy w pełni sobie to uświadamiałem: tę dwuznaczną grę słowa „alibi”. To słowo sugeruje, że jest miejsce pełne i miejsce puste, związane – jak powiada Roland Barthes – stosunkiem identyfikacji negatywnej: „nie jestem tam, gdzie sądzicie, że jestem”; „jestem tam, gdzie sądzicie, że mnie nie ma”. Alibi zwykle to alibi policyjne: odwrócenia i roszady zostają uniemożliwione przez „przyaresztowanie przez rzeczywistość”. W istocie w Zamku Ujazdowskim zostałem pozbawiony alibi. A Wodziński wziął mnie w areszt.

Pamiętam minę Michała Herera po wysłuchaniu mojej wypowiedzi. Pamiętam też trudny do opanowania

śmiej naszego wspólnego studenta Krzysztofa Wolańskiego, przyszłego autora książki *Sędzia Schreber. Bóg, nerwy i psychoanaliza*. Po części oficjalnej Wodziński zaprosił mnie na bok i powiedział, że ta wypowiedź zostanie zapamiętana i uzupełniona o materialną zemstę na moim dziele i na mojej osobie. Po czym Hermes uśmiechnął się i zniknął. Zemsta jakaś poważna nie nadeszła, ale jej obietnicę i złość Wodzińskiego zapamiętałem, bo tak potwornie kontrastowała z jego radosną, gościnną, przyjazną, życzliwą naturą właściwą filozofowi. Gniew Wodzińskiego był nie mniejszy niż jego gościnność. Takiego wydarcia się thymotejskiej części duszy nie widziałem nigdzie indziej. Potem dostrzegłem ją także u siebie. Zrozumiałem wtedy, że architektura duszy Wodzińskiego jest bardzo złożona i w jej skład wchodzi wiele płyt tektonicznych. Zło było rzeczywiste.

Od tego czasu spotykaliśmy się mniej, tym bardziej że nie zjawiałem się także na rozprawie rozwodowej Wodzińskiego, gdzie miałem zeznawać w charakterze świadka. Nie miałem już żadnego alibi. Ciągłe nie doceniamy dostatecznie thymotejskiej, gniewnej części duszy i przeceniamy jej część rozumną. *Logos* jest niemy w porównaniu z *thymosem*. Oczywiście, gniew Wodzińskiego był nieustannie sublimowany, ironizowany, ale, jak już się ujawnił, to w wulkanicznej formie godnej Kronosa, boga czasu, który jest czasem tworzenia i niszczenia, a nie akumulowania, skraplania, wpływania lub decydowania. Kronos to nie Kairos. Nie jest to czas heraklitejski, bo nie jest to czas stawiania się. Jest to raczej czas stawiania się dowolnego prawa. Jest to czas niszczenia samego prawa.

Jacques Derrida w swej wpływowej książce *O duchu. Heidegger i pytanie* stawia problem, czym jest duch u Heideggera. I odpowiada: *Der Geist ist das Flammende...*, *Der Geist ist Flamme*. Jak to przetłumaczyć? Duch jest tym, co rozplomienia? *Duch jest tym, co się rozplomienia, podkładając ogień, podkładając ogień pod siebie samego. Duch jest płomieniem, który rozpala lub który się rozpala*. Duch bierze ogień i daje ogień, duch się rozplomienia, w czasowniku i rzeczowniku jednocześnie. To, co się bierze i daje jednocześnie, to ogień – ogień ducha. Duch daje duszę i nie oddaje jej nawet po śmierci. Dusza Wodzińskiego nieustannie podpalała i była ogromną pochodnią. Hermes to płomień, który podpala ducha praw. Jedynym prawem staje się prawo ognia. Prawo ognia nie jest duchem Praw.

Uniwersytet (rachunki)

Pamiętam doskonale wprowadzenie Cezarego Wodzińskiego na pierwszą radę Wydziału „Artes Liberales”, na której serdecznie przywitał się z jej członkami i wyraził dumę z tego, że sam już jest jej członkiem, a po-

tem oznajmił, że poważne zobowiązania nakazują mu się oddalić. Więcej na radach go nie widziałem. Oto cały Wodziński, mistrz uwodzenia i ucieczek. Wodziński miał zawsze alibi. Bezwarunkowa wolność uniwersytetu oznacza wolność publicznego głoszenia wszystkiego, czego wymagają – wiedza, myślenie i prawda. Ale czym jest prawda? Ponownie Jacques Derrida – w książce *Uniwersytet bezwarunkowy* powiada, że uniwersytet czyni z prawdy wyznanie. Uniwersytetem bezwarunkowym moglibyśmy nazwać prawo do mówienia wszystkiego, choćby tytułem tworzenia fikcji i eksperymentowania z wiedzą. Uniwersytet jest zatem możliwy tylko jako fikcja, kantowskie „jak gdyby”. Tym właśnie był uniwersytet dla Wodzińskiego. Dla niego **humboldtowski** uniwersytet należał do epoki mieszczańskiej. Ten uniwersytet był być może wspaniale pomyślany, ale dzisiaj już jest niemożliwy. Uniwersytet to nie była żadna materialna instytucja, ale realna fikcja, albowiem jak powiada Heidegger – *Keiner stirbt für blofle Werle (Nikt nie umiera dla czystych wartości)*. Umrzeć można tylko własną śmiercią. Tylko w urzędzeniu biopolitycznym można odebrać innemu możliwość jego najbardziej własnej śmierci. To jednak jest złem absolutnym. Zło absolutne to czas po uniwersytecie bezwarunkowym.

Konflikt na Wydziale „Artes Liberales” był murowany, **zważywszy na** ambicje tego wydziału i potrzebę wolnego czasu Wodzińskiego. Wodziński nauczał „myślenia bycia”, które dochodzi do głosu jako „myślenie przeciwko wartościom”, a „Artes Liberales” bronił wartości. Jednak współpraca między wydziałem na poziomie wartości i głową zwróconą przeciw wartościom czasami się udawała. Studenci uwielbiali Cezarego. **Pamiętam**, jak spotkałem go u wejścia do Willi Białej na Dobrej, gdy przybył na swoje seminarium i kilka studentek wpadło w euforię na jego widok, wrzeszcząc i rzucając mu się w **ramiona**, tak jakby spotkały jakiegoś idola, celebrytę, wokalistę pokroju Micka Jaggera, Kurta Cobaina, Freddiego Mercury’ego. Zdumiał mnie po raz kolejny, bo przede mną studenci raczej uciekają.

W tym okresie napisał mi kilka nieskutecznych opinii. Pierwszą na stypendium postdoktorskie do Wiednia. Gdy przyszła decyzja negatywna, oznajmił jedynie, że jestem pierwszą osobą z jego rekomendacją, która nie otrzymała stypendium. **No, mile** być pierwszym. Druga – to chyba rekomendacja do nagrody Ministra Nauki za osiągnięcia naukowe, też nieskuteczna. Zmienił się właśnie regulamin, który mnie eliminował z walki o **tę** nagrodę. Uśmiechnął się i powiedział, że wszystko przede mną. W samej rekomendacji natomiast, którą wczoraj udało mi się odszukać, podkreślił jedynie, że *zapoznając się dokładnie z dorobkiem naukowym Szymona Wróbla, łatwo popaść w konsternację i zdumie-*

nie na krawędzi poczucia „nierzeczywistości” wynikające z monstrualności jego dorobku, którym mógłby bojnie obdzielić legion rówieśników. Zemsta Wodzińskiego była oparta na prostej tezie: nic po ironii. Wszystko w ironii. To Wodziński jako pierwszy słusznie rozpoznał we mnie monstrum.

Pewnego czerwcowego dnia, po seminarium, udaliśmy się do knajpy. Po kilku piwach, kolejni uczestnicy umywali się od zapłaty rachunku. Cezary Wodziński, widząc, że koniec końców rachunek dotrze do mnie, obwieścił: „drogi Szymonie, ja chyba dziś także wspaniałomyślnie pozwolę ci zapłacić rachunek za siebie”. Takie to były czasy. Rachunki zawsze należało płacić. Cezary Wodziński w książce *Heidegger i problem zła* stwierdził, że *o wielkości i doniosłości dzieła filozoficznego decyduje pytanie, czy ma ono moc wyzwania. Udziela się jako wyzwanie, skłaniając nas – niekiedy przybiera to charakter bezwarunkowo imperatywny – do podjęcia próby współmyślenia*. Do takiej próby z pewnością Wodziński mnie zachęcił, a nawet do niej zmusił. Dzieło filozoficzne Wodzińskiego ma bez wątpienia moc wyzwania. Myślę jednak, że pora już zaprzestać pisania „o Wodzińskim”. Ważniejszy byłby rzeczowy spór „z Wodzińskim” lub choćby spór „wokół myśli Wodzińskiego”. Spór filozoficzny – twierdził Wodziński – nie jest kłótnią, zwadą czy zatargiem ani nawet starciem, w którym chodziłoby o pokonanie domniemanego przeciwnika, lecz takim przeciwstawieniem sobie, w którym istoty tego, co przeciwstawiane, wychodzą na jaw. Na tym też polega różnica między filozofią i polityką: Heideggerem i Schmittem. Przeciwstawienie w filozofii nie jest formą wrogości ani tym **bardziej** próbą zniszczenia, eliminacji – jest raczej formą ujawniania i odkrywania zarówno Siebie samego, jak i Innego.

Carl Schmitt twierdził, że *polityczna jedność jest najwyższym rodzajem jedności* z tego powodu, że potrafi uniemożliwić wszelkim innym grupom doprowadzenie do *ekstremalnej wrogości*. Polityka jest sferą monopolu na **wrogość**. Filozofia ma monopol na przyjaźń. Gilles Deleuze w swej ostatniej książce *Co to jest filozofia?* twierdzi, że filozof jest *przyjacielem pojęcia*, a nawet jest *potencjalnością pojęcia*. Filozofia nie jest prostą sztuką formowania, wymyślania czy tworzenia pojęć, ponieważ pojęcia niekoniecznie są formami, odkryciami czy produktami. Filozofia to praktyka, która polega na wytwarzaniu amatorskiego gangu przyjaciół własnych dzieł: (po)tworów pojęciowych. Przyjaciele obdarowują i okradają się wzajemnie ze swoich pojęć. **My**, filozofowie należymy do gangu złodziei pojęć. Wodziński był wielkim intelektualnym złodziejem, który z bezgraniczną hojnością pozwalał się także okradać.

Kaligrafia Wodzińskiego (pułapka)

Należy zobaczyć ręcznie pisane listy oraz notatki Cezarego Wodzińskiego, aby zrozumieć piękno i prostotę jego myśli. To w kaligrafii zawiera się skarb jego myślenia. Kaligrafia to zapis – rodzaj gramatologii, który wyprzedza życie ciała i umysłu. Nie istnieje znak językowy przed jego zapisem. To – jakby powiedział ponownie Derrida – rodzaj arche-pisma. Epoka *logosu* – z czym nie mógł pogodzić się Wodziński – obniża wartość pisma rozumianego jako mediacja mediacji i upadek sensu. Gdy ujawnia się ekspresja i okazuje się, że w świecie istnieje raczej ktoś niż nikt, piękno kaligrafii się wykrzywia. Wyłonienie się nowej litery, nowego pisma musi wstrząsnąć zastanymi ramami i pojawić się jako rodzaj potworności. Wodziński zjawia się na świecie między słowem Sokratesa i literą Platona. Ponownie żywi go szczelina.

Dusza Cezarego Wodzińskiego zawieszona była na trzech biegunach, w trzech miejscach: Atenach (Platon/Sokrates), Petersburgu (Dostojewski/Szestow), Fryburgu (Heidegger/Nietzsche). Takie otchłanne konstelacje i takie dramatyczne rozpięcie duszy między językami i cywilizacjami musiało rodzić napięcia i nie dawało nadziei na ostateczny ład. Wodziński był ofiarą tych napięć, był narzędziem ich ujawniania się. Antyczna greka, rosyjski wiek XIX i niemiecki w czasach narodowego socjalizmu – są trudne do skomunikowania, a Wodziński w tym trójką nie przyjął roli tłumacza, ale poety, który chce mówić tymi trzema językami równocześnie. To trudne zadanie, godne Hölderlina może.

Dzieło filozoficzne Wodzińskiego stawało się swą istną grota, czyli pułapką na myszy, która – jak słyszymy w *Hamlecie* – złapie sumienie każdego fałszywego króla. Metafizyka jest pułapką na byt fałszywy, a filozofia Wodzińskiego jest reakcją na pewien teatr przedstawień, w którym Pseudo-Coś pojawia się w miejscu tego, co zamierzamy nazwać bytem. To podstawienie wytwarza efekt niesamowitości. *Unheimliche* to To, co pojawia się w miejscu, gdzie powinno być Coś, ale jest Nic. Niesamowite to miejsce – tam, gdzie powinien być ktoś, pojawia się Nikt. Teatr przedstawień jest tak zdradliwy, że wymusza byt. Metafizyka konfrontuje nas ze światem przed tym wymuszeniem. Głównym problemem metafizycznym jest zatem wejście pierwszego znaczącego do rzeczywistości i wyjaśnienie, jak z tego „wejścia” rodzi się podmiot. Czy te narodziny oznaczają, że znajdujemy się w obliczu jakiejś prefiguracji ducha, rodzaju zjawy, uskrzydłonych słów zapełniających dziury w rzeczywistości i że spośród tych prefiguracji wyłoni się kiedyś dziura bez słowa, która będzie uchodzić za podmiot – Para-byt?

Absolutne Zło (*Schwärmerei*)

Na czym zatem polega wielka lekcja Wodzińskiego? Na czym polegał i z czego wynikał *Schwärmerei* Wodzińskiego? *Schwärmerei* w języku niemieckim oznacza „marzenie na jawie” lub fantazję, zwłaszcza związaną z pewnym przekonaniem. Słowo *Schwärmerei* jest odmieniane na różne sposoby w tekstach Kanta. Jednak swoje źródło ma u Platona. *Schwärmerei* Platona polega na rzutowaniu idei Najwyższego Dobra na nieprzeniknioną pustkę. Dzięki temu rzutowaniu etyczne życie staje się możliwe. Wodziński pyta: co się z nami dzieje, gdy odrzucamy platońską koncepcję Najwyższego Dobra jako centrum bytu? Otóż wtedy odkrywamy najwyższą pustkę. To miejsce zasiedlane przez Zło. Już Arystoteles, podtrzymując pojęcie Dobra Suwerennego, głęboko zmienia jego znaczenie. Arystoteles poprzez przesunięcie intelektualne i topologiczne przekształca Suwerenne Dobro w kontemplację gwiazd, to znaczy w kontemplację najdalszej sfery kosmosu.

Wodziński-Hermes oznajmia światu bez większego skrępowania: nie ma dobra ani przyjemności, które opierałyby się na Dobru. Zadanie etyczne, które polegało na poszukiwaniu zasady *Wobltat*, właściwego działania, spełzło na niczym. Nie istnieje Suwerenne Dobro, ale istnieje Absolutne Zło. Filozofia to forma żałoby, którą możemy określić jako nieśmiertelną, ponieważ leży u źródła wszystkiego, co od czasu Platona zostało sformułowane w naszej tradycji na temat idei nieśmiertelności. Nie ma nieśmiertelności, są tylko śmiertelne i mówiące ciała.

To dziedzictwo Heideggera, ale przede wszystkim Hannah Arendt, która kończąc *Korzenie totalitaryzmu*, zdefiniowała radykalne zło w kategoriach biopolitycznych jako odkrycie porządku, w którym wszyscy ludzie stali się równie zbędni, zarówno władcy, jak i masy. To porządek, w którym totalitarni mordercy nie dbają o to, czy sami są żywi, czy martwi, czy kiedykolwiek żyli, czy nigdy się nie narodzili. Obecnie zagrożenie jedynie rośnie: masy ludzi stają się nieustannie zbędne, a przyczyną tego nie jest już totalitaryzm, ale utilitaryzm. Utilitaryzm, podobnie jak totalitaryzm, oferuje rozwiązanie problemu przeludnienia – ekonomicznie zbędnych i społecznie wykorzenionych ludzkich mas.

Ciekawe, że Wodziński pisarstwo etyczne Arendt nazwie: *tylko sprawozdaniem* i nonszalancko doda w *Światłocieniach zła*: „Raport” Arendt jest bodaj najbardziej spektakularnym przykładem zamilknięcia myślenia wobec epifaniczności wydarzenia „zła radykalnego”. Przeciwnie – to nie milczenie ani żałoba po zniknięciu dobra, ale rodzaj donosu na podłość czasu planetarnej cybernetyki. Heidegger ogłosił, że cybernetyka jest końcem, a w zasadzie „dopełnieniem” metafizyki

ki. Wszelka polityka po metafizyce to jedynie program administracyjnego podejmowania decyzji, zarządzanie systemem. Polityka to **cybernetyka**. A Cybernetyka to nie **nauka**, a zdolność do tolerowania przygodności. Ta zdolność to po prostu odporność na wszelkie promieniowanie zła.

Hermes (głód pragnienia)

W książce *Metafizyka i metapolityka* Wodziński wziął ponownie w obronę Heideggera, pisząc, że „*Czarne zeszyty*” są dokumentem szczególnej wagi. Trzydzieści cztery zeszyty, zapisywane od 1930 do 1970 roku. Składają się na niemający precedensu w dziejach filozofii „dziennik myśli”. Metafizyka jako metapolityka jest optyką, która jednym panoramicznym spojrzeniem stara się uchwycić wszystkie rozstrzygające dla epoki spełnionego nihilizmu wydarzenia. *Czarne zeszyty* Heideggera Wodziński **czyta** nie tyle jako testament filozoficzny, ile jako rękodzieło myślenia, warsztat filozoficzny, rękopis metafizyka, który jest w ortografii, ale też w tajemniczej serii: Heraklit, Heidegger, Hitler. *Czarne zeszyty* Heideggera w rękopisach Wodzińskiego przekształcają się w białe dzienniki pisane pod dyktando dyktatury chwili i trafionego okrutnym czasem myślącego człowieka.

Problem dobra i zła – w interpretacji Wodzińskiego – sprowadza się do pytania o istnienie „poza dobrem i złem”. Co to za istnienie, które nie zna różnicy etycznej? Zdaniem Wodzińskiego to Nietzsche odkrył sferę „poza dobrem i złem”, ale zawahał się przed podjęciem próby metafizycznej eksploracji tej sfery. Wodziński przesądza: *Nie poszedł tropem swego odkrycia, wycofał się na teren metafizyki różnicy aksjologicznej*. Dlaczego Heidegger był znacznie bardziej konsekwentny? Otóż dlatego, że autor *Bycia i czasu*, kontynuując szlak Nietzschego, wykazał, że „poza dobrem i złem” zamieszkuje Bycie. Dziejowa epifania zła, jaka stała się udziałem naszej epoki – powiada Wodziński – przesądza jednak inaczej: „poza dobrem i złem jest Zło”. Jeśli pytanie o zło pojawia się w ogóle na horyzoncie problemowym XX wieku, to wyłącznie jako pytanie peryferyjne, pozostając całkowicie nierozpoznane. Koniec końców, **heideggerowska** sentencja, zgodnie z którą najbardziej daje do myślenia to, że jeszcze nic myślimy, domaga się istotnego uzupełnienia: nie myślimy Zła. Wodziński jest wielkim etykiem XX wieku. W przeciwieństwie do Nietzschego, Arendt, Foucaulta i Agambena, którzy zadowolili się „sprawozdaniem”, archeologią, genealogią, historią, Wodziński wraca do metafizyki, czyli do kwestii istnienia, a nie tylko jawienia się, zapisania się, migotania w postaci historycznych figur. Wodziński nigdy nie zadowalał się ontycznym powabem i zawsze szukał ontologicznej decyzji.

Cezary Wodziński przez całe życie pytał mnie, kiedy w końcu coś o nim napiszę i kiedy go w ogóle przeczytam? Odpowiadałem wymijająco, że muszę mieć „powód” porównywalny z szaleństwem miłości. Tylko śmierć jest porównywalna z szaleństwem miłości. Alexandre Kojève we *Wstępie do wykładów o Heglu* powiada, że jeśli świadomość *doznała nie absolutnego strachu, lecz tylko niepokoju, to negatywna rzeczywistość pozostała dla niej czymś zewnętrznym i nie skaziła na wskroś jej substancji*, a więc jej ducha. Człowiek, który nie doświadczył strachu przed śmiercią, nie wie, że bezpośrednio dany świat jest mu wrogi, że dąży do jego unicestwienia, że jest z istoty rzeczy niezdolny do tego, by go rzeczywiście zadowolić. Takim człowiekiem niezdolnym do „dreszczu śmierci” jest w dialektyce Pana i Sługi Próźniak-Pan, który żyje tylko dla rozkoszy. Taki próżny Pan będzie działał jako „zręczny” reformista, czyli jako konformista, ale nigdy nie jako prawdziwy rewolucjonista. Człowiek czynu – Hermes, który *karmi się pożądaniami tak, jak zwierzę żywi się rzeczywistymi rzeczami*, jest stworzony do dzieła. Wodziński był takim sługą Erosa, Hermesem, który widział jak posłużyć się lirą. Pragnienie Hermesa zawsze u Wodzińskiego górowało nad instynktem zachowania życia. Niepokój i strach absolutny skaził doszczętnie substancję duchową Wodzińskiego.

W książce *Heidegger i problem zła* Wodziński ponownie przypominał, że przywilejem wielkich filozofów jest prawo do posiadania najlapidarniejszej biografii. *Władza nim zwykle reguła odwrotnej proporcji – im dłuższa i bogatsza droga myślenia, tym krótsza i oszczędniejsza biografia. Obszerny cykl wykładów poświęconych metafizyce Arystotelesa poprzedził Heidegger słynną notą biograficzną: „Urodził się, pracował, umarł”*. Biografia Wodzińskiego nie „posiada” myślenia Wodzińskiego. Myślenie Wodzińskiego jest nieoswajalne, albowiem jest to myślenie człowieka zdefiniowanego jako *deinotaton*, jako *das Unheimlichste*, istota najbardziej nieswoja, przekraczająca to, co swojskie i swoiste, wykraczająca nieustannie poza bycie „u siebie”. Wodziński to istota niepomna swej istoty; błądząca, wydająca bycie na łup skrytości, swej groty pozbawionej wszelkiego alibi. **Człowiek**, będąc *hypsipolis*, jest zarazem nieuchronnie *apolis* – pozbawiony swej dziejowej siedziby; wystawiony na upadek i zgubę: zatracenie własnej istoty. Człowiek może być i jest *heimisch* i *unheimisch*, człowiek jest wielokrotnie niesamowity. ■